ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Sierpnia. **N^{er} 31.** **Roku 1854.**

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Oktawa Feuillet.

(Dokończenie. Ob. N. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 25. 26. 27. 28. 29 i 30. Rozmaitości.)

List VIII.

Le Chesny 8. Września.

Pragnąłbym zasięgnąć twéj rady nim zrobię stanowczy krok, nad którym rozmyślam, ale musiałbym czekać trzy dni na odpowiedź, a to przechodzi moją cierpliwość.

Chcę powiedzieć Zuzannie że ją kocham, zrobić jéj zeznanie otwarte i zupełne. Czy to myśl dobra? czyli odniesie pożądany skutek? Niewiem; wiem tylko że niemogę znieść dłużéj téj tajnéj trwogi która mnie całego owładnęła. — Któż mi kiedy powiedział że ona mnie kocha, jeżeli nie moja niedołężna zarozumiałość? — Jéj spokojność zastrasza mnie czasem, w innych chwilach zdaje mi się że to nie ta sama kobiéta, że wzrok jéj ukradkiem chce czytać w méj twarzy, że jest rzewniejszy, — albo mniéj czysty, że mnie kocha — albo że się poczuwa do winy... Ta niepewność jest straszna. Chcę jéj wszystko powiedzieć, i wszystko wiedzieć, i to bez zwłoki.

W ogrodzie jest szpaler cienisty i wonniejący, to jéj ulubione miejsce przechadzek; pośrodku stoi stolik a przy nim ławeczka; tam zasiada najczęściéj podczas upału z swą robótką. Przed godziną poszła tam z koszyczkiem. Udam się za nią. Może mnie wysłucha? — Ale jak do niéj przemówić?... Nigdy w życiu niedoznawałem wzruszenia tak głębokiego, tak miłego — ani tak okrutnego. Powiadam że życie moje zależy od jéj odpowiedzi! — Ha! — w imię Boga! — Idę!

Godzina czwarta po południu.

Gdzie jesteś kochany przyjacielu?.. gdzie twoja ręka?... Ziemia usuwa się z pod nóg moich — oczy moje niewidzą światła!... Wszystko zniszczone, stracone, pochłonięte! — Trzeba być mężem, drogi bracie; będę nim. Odwaga jeszcze mnie nieopuszcza, ale przytomność, porządek myśli... Nic niewidzę... nic niewiem!... Może gdy ci opowiem ostatnią epizodę życia, które odtąd żadnéj dla mnie niema wartości, odzyskam trochę spokoju i zimnéj krwi.

Wyszedłem do ogrodu. Szedłem ścieżkami poprzecznemi tak iż mogłem z daleka widzieć Zuzannę siedzącą na ła-

łeczce, o któréj ci mówiłem, nim ona mnie spostrzegła. Trzymała w ręku list jakiś, czy kartkę, niewiem; zbliżając się widziałem jak kilkakrotnie ten list całowała, a obfite łzy potoczyły jéj się z oczu. — Stanąłem jak wryty, dostałem zawrotu głowy, niewiedziałem co się ze mną dzieje. Patrzałem zawsze na Zuzannę, ale niewidziałem jéj; wyziew jakiś grobowy zasłaniał mi oczy.

Jednak widząc że złożyła znowu i schowała ten list, poszedłem ku niéj krokiem dość pewnym; byłem raczéj odurzony niż wzruszony. Niepowziąłem żadnéj stanowczéj myśli; szedłem jak na stracenie. — Zuzanna jeszcze nieposiada wszystkich cnot swéj płci: jéj widoczne zmieszanie się gdy mnie ujźrzała, świéże jeszcze ślady jéj łez, drżenie jéj głosu, podawało mi łatwy pozór do bezpośrednich i stanowczych wyjaśnień. — Ale zwyczajną słabością ludzką jest że unika jawnéj pewności nieszczęścia, chociaż czuje że nieujdzie. — Udałem żem nic niewidział: zacząłem się unosić nad pięknością pogody, nad wonią kwiatów. Zuzanna przyszła do siebie. — O liście ani słowa. — Chciałem jeszcze nim odejdę, wyczerpać wszystkie domysły, w którychby się ukrywać mógł jeszcze promyk nadziei... „Zdaje mi się, rzekłem, że już dawno niemieliśmy wiadomości od dziadunia... Czy przypadkiem nie chory?“ — Nie, dzięki Bogu! pan Laubriand widział go przedwczoraj, zdrów jak ryba. — Cieszy mnie niezmiernie!.. Ale! miałem pani coś powiedziéć... Zapominałem zawsze pytać się czyliś pani niezostawiła w Orleanie albo w Paryżu jakiéj ukochanéj przyjaciółki, możeby pani sprawiło przyjemność widziéć ją? Należałoby korzystać z pory roku i zaprosić ją na kilka tygodni do Chesny? — Dziękuję bardzo, odpowiedziała patrząc na mnie z niejakiém zdziwieniem, ale niemam innych przyjaciołek prócz tych, które pan znasz i które codziennie widuję. — Odszedłem.

Oddalając się ku zamkowi, mimowolnie obróciłem się. W drugim końcu szpaleru poznałem pana Juliusza Bailly. Zatrzymałem się; on stanął także jak osłupiały. Zuzanna wstała; stanęła nieruchoma między nim a mną, blada i niema jak posąg przestrachu. — Pan Bailly nadszedł przez tajną kładkę parku którą mu sam z grzeczności wskazałem. I jakże nie być grzecznym dla człowieka, który tak daleko posuwa sam grzeczność swoją iż zapowiada na piśmie swe odwiedziny, ażeby być tém pewniejszym że nikomu niezada trudu. — Prawie nigdy niema mnie w zamku o téj godzinie. — Bracie, krew się burzy we mnie, gdy pomyślę jakie zdanie powziąć musiał ten nikczemnik o mnie widząc mnie uchodzącego spiesznie do zamku odstępując mu miejsca. — Ale cóż mi na tém zależy! Niemogę sądzić ażeby dziwny stosunek jaki zachodzi między mną a tą kobiétą, wkładał na mnie tylko zwyczajny obowiązek każdego innego oszukanego i śmiesznego męża. Pomyślę nad tém czyli niema jakiego innego środka do ocalenia mego honoru...

Zbliżając się do zamku, usłyszałem głośną wrzawę w przedpokoju: Lhermite

kłócił się z starą Jeannettą. Spór zdawał się być bardzo ożywiony. Posłyszałem nazwisko pana Bailly. — Kłótnia ustała gdy mnie spostrzeżono. — Za chwilę wszedł Lhermite niewiem po co do pokoju. Skarciłem go surowo za niezgodę z Jeannettą. Chciał się usprawiedliwić i w uniesieniu złego humoru, bez żadnego zapytania z méj strony, wyjawił mi wszystko, — wszystko od piérwszego widzenia się w kościele aż do ich codziennych schadzek w szpalerze, gdzie ich dzisiaj przypadkowo naszedłem. Ta stara czarownica Jeannetta jest na ich usługi: ona odbiéra i oddaje ich listy za pośrednictwem jakiegoś innego tajnego ajenta. — Przed trzema tygodniami nadszedł jeden taki list pocztą. Lhermite niósł mi go z innemi listami. Jeannetta, będąc zawsze na czatach, zatrzymała Lhermita, a gdy się wzbraniał dać jéj ten list, wykupiła od niego za dziesięć luidorów. — Hrabia Fryderyk A.. naszkicował niedawno w imienniku portret Zuzanny. Lhermite znalazł tę kartkę u stóp kładki, którą codzień wchodzi do parku. Oddał mi ten portret, jest zawinięty w papier pod adresem tego młodego człowieka.

Oszczędzam ci inne fakta równie jasne. A zresztą nic nowego się przez to niedowiedziałem. W chwili gdy zasłona spadła z mych oczu, objąłem wszystko jedném spojźrzeniem. Tak-to zawsze bywa. — Lhermite niemógł ani godziny dłużéj pozostać w mym domu: odprawiłem go pozłociwszy moją niewdzięczność dość hojnie tak, iż jestem pewny że będzie milczał.

Teraz, kochany Jérzy, co począć?.. Jeżeli ich miłość, jak mi się zdaje, zamknięta jest w granicach sielanki, tém lepiéj dla ich spokojności! Co do mnie, niejestem tyle ograniczonym i podłym, bym oceniał moją obelgę i ruinę według materyalnego stopnia ich winy. — To się nieda naprawić. Pozostaje mi tylko ostateczna pociecha gladyatora, — poledz z godnością; — ale, i o tém trzeba mi pomyśléć.

Wołają mnie... To tryumfujący głos Laubrianda. Niech mu Bóg nagrodzi. Jest u nas na obiedzie z całą swą rodziną, a wieczór mamy gości. — Idę do salonu. Trzeba być mężem. — Niemasz nic gorszego jak odgrywać komedye, niebędąc aktorem. — Do widzenia się.

O północy.

Oddycham nakoniec! — po strasznéj walce. Nigdym niebył w tak różowym humorze. Bałem się tylko tego, ażeby mój śmiech nie skamieniał na moich ustach i niezamienił się w skrzywienie szaleństwa. — Zuzanna niepoznała się na tém; posępna niespokojność znikła zwolna z jéj twarzy. Wyobrażała sobie zapewne że scena w parku niezostawiła w méj duszy żadnych niepokojących śladów. — Około dziesiątéj wszedł p. Bailly do salonu. Zdaje mi się że gdyby w téj chwili była na mnie spojźrzała, byłaby straciła wszelką iluzyę; ale patrzała tylko na niego. — Na szczęście nieprzyszedł jak za zwyczaj, podać mi rękę, bo wszelka cierpliwość moja byłaby się skończyła. Według zwyczaju dobrych mężów, siedziałem przy stoliku wistowym; prze-

demną wisiało wielkie zwierciadło w którém śledziłem wszystkie ich ruchy. On stał przy fortepianie. Zuzanna krzątała się trochę po salonie z widocznym niepokojem, potem stanęła nagle przed nim: spojźrzała na mnie ukradkiem, potem szepnęła mu kilka słów dotykając się jego ramienia końcem palców. Była-to prośba lub rozkaz. On zadrżał, a oczy jego zwróciły się ku mnie. W bladych rysach jego zdawało mi się widzieć wyraz, — niemogę powiedzieć przestrachu — ale przynajmniéj jakiejś niepewności i boleśnego wzruszenia. — Na to rozeszli się. — Pan Bailly pokręcił się kilka chwil około stołu za którym siedziałem, jak gdyby szukał sposobności mówienia ze mną. — Musiała mu polecić ażeby względem mnie postępował z większą polityką; ale niemiał widać tyle bezczelności i wyszedł z salonu. — W chwili gdy ci piszę, porozchodzili się już wszyscy.

Czyli niepodziwiasz, kochany Jérzy, prawdziwie fatalną naiwność mego długiego zaślepienia? Żyłem, widziałem świat, nauki które odebrałem lub dawałem, tkwiły mi jeszcze świéżo w pamięci... Tyle świéżych przykładów powinno było przecie uczynić mnie uważnym na tego młodego człowieka? Ale nie.... przeznaczenie moje chciało ażebym w roli mojéj małżonka służył za wzór wierności tradycyom klasycznym. — Jedyny człowiek, któremu powinienem był niedowierzać, którego powierzchowność, układ, całe usposobienie powinno było wzbudzić odrazu podejźrzenie, tego właśnie wybrałem za przyjaciela, jego właśnie wciągam w poufność domową, jego właśnie staram się podnieść, wywyższyć, upoetyzować w duszy téj młodéj kobiéty!... Kiedy przebiegam w myśli wszystkie usilne zabiegi jakie łożyłem, by sobie zgotować hańbę... śmiech piekielny mnie porywa!.....

Strasznie jestem wzruszony, kochany bracie. Ten okropny przymus wzburzył we mnie najgwałtowniejsze namiętności... Boję się bym niestracił siły méj woli... Ta nieszczęsna kobiéta niewie w jak niebezpieczną grę się wdała!... gdyby jedną minutę czytać mogła w méj duszy!... Muszę wyjść na świéże powietrze... W teraźniejszém usposobieniu mojém mógłbym popełnić zbrodnię, niezastanowiwszy się nawet co czynię....

Wracam spokojniejszy. — Odzyskałem przytomność. — Bracie, ja sam jestem winny. — Prawo boskie nie jest ślepe, nieugięte i powierzchowne jak prawa ludzkie. Ono przenika źródła występków; godzi w głąb duszy winowajcy; ukrywa w głębi naszych uczynków zaród sprawiedliwości, który się rozwija zwolna z logiką nieomylną. Tego samego dnia gdym zamierzył stłumić pod memi popiołami serce pełne życia i młodości, gdym postanowił spoić śmierć z życiem, — popełniłem zbrodnię któréj niedołężna ręka ludzkiéj sprawiedliwości dosięgnąć niemoże, ale któréj tajemnicze ukaranie Bóg sam sobie zastrzegł. — Tego dnia posiałem burzę która mnie dziś obala.

Któż wié ile przetrwali oboje walki cierpień nim się poddali skłonności swego serca?... Mówiłem ci że on podobny

do ciebie. To prawda.. ileż razy myślałem że ty byłbyś jéj godnym?.. Bądź pewnym, ciebie niebyłaby zdradziła.

Najmniejszy powiew namiętności musiał obalić drzewo bez korzenia i zerwać węzły nienaturalnego związku. — Za cóż ich karać? za co się mścić?... na jakiejże zasadzie zdrowego rozumu i prawdziwego honoru mógłżebym oprzeć moją zemstę?.. Czyliż prawo, jakie mi nadaje martwa litera ustawy, nie jest unieważnione, obalone sprawiedliwszym głosem mego sumienia?

Zdecydowany jestem stanowczo: odjadę, zostawię ich. — Niedbam co świat na to powie! — Drogi przyjacielu, ty wiesz żem ją kochał, że szczęście moje spoczywało w jéj ręku; ale mogłaż ona wiedzieć, czém była dla mnie?... Chcę wyjechać, powlokę na koniec świata resztę dni moich; ale myśl życia, jaki to straszny ciężar. Gdyby Bóg dla mnie był tyle dobrym, ile sprawiedliwym, niebyłby dozwolił, ażebym przeżył ten cios okrutny.

Gdybym spoczywał tam obok jéj matki, w tém samém błogiem schronieniu, możeby przyszła na to miejsce w nocy podobnéj do téj, która zbyt długo zachwycała myśl moją... przyszłaby może uronić kilka łez żalu nad życiem którego niepoznała dobrze... nad sercem które rozdarła!... Dlaczegoż tylko zbrodnia może mi otworzyć ten przybytek?— tylko zbrodnią okupić mogę ten spoczynek! — Zbrodnia! — Miałożby to być tak wielką zbrodnią umrzeć w porę, zakończyć życie bez celu?....

Przebacz mi te szalone myśli, tę chwilową słabość. Niemyśl o tém. Może przez całą noc odzyskam więcéj rozwagi, więcéj siły. Jutro ci napiszę. — Bądź zdrów Jérzy. — Bądź zdrów, mój jedyny przyjacielu.

W pokoju pana d'Athol, nazajutrz.

(Północ. Raoul blady, włosy w nieładzie, wpada do pokoju. Zostawia drzwi otwarte i spogląda od czasu do czasu na wschody, które widać w głębi. Siada do stolika i pisze szybko co następuje:)

„Powinienem był odjechać wczoraj; dziś już za późno. Słuchaj co się stało: — Dzień zeszedł na przyjmowaniu gości: do późnego wieczora musiałem być w salonie. — Przyszedłszy przed dziesięcioma minutami do mego pokoju, posłyszałem przez otwarte okno od przedpokoju, stąpanie kroków w ogrodzie. Wychyliłem się ostrożnie, widziałem pana Bailly idącego pod przewodnictwem Jeannetty. Noc jest tak jasna żem mógł rozróżnić najdokładniéj jego rysy i cały ubiór. Stara wskazała mu wschody poboczne wiodące do pokoju Zuzanny. On wszedł, stara odeszła. — Natychmiast zszedłem na dół, zamknąłem drzwi od wschodów. Gdy zechce wyjść muszę go widzieć, muszę się z nim rozmówić. A zresztą, pójdę go odszukać. — Muszę się z nim spotkać oko w oko... przywiedli mnie do ostateczności!... precz z wszelkiemi względami sumienia i wspaniałomyślności!... To już przechodzi siły ludzkie.

Tę kartkę odbierzesz na wszelki wypadek. Załączam kluczyk od mego biórka. Proszę cię wykonać zlecenie które znajdziesz pod moją pieczęcią. — Pole-

cam się twéj pamięci, jedyny mój przyjacielu.“

(Pan d'Athol składa list i pisze adres; potem bierze ze stolika skrzynkę z pistoletami i odchodzi spiesznie ku wschodom.)

W pokoju Zuzanny.

(Raoul wchodzi nagle; oczy jego zwracają się zaraz na zasłonę u okna w głębi komnaty, która widać dopiéro co spuszczona, jeszcze się porusza. Zuzanna stoi niespokojna, patrzy na wchodzącego z widocznem wzruszeniem i wita go lekkiém skinieniem głowy.)

Raoul.

Czyś mnie pani oczekiwała?

Zuzanna *(z przymusem.)*

Nie... dlaczego?... cóż to ma znaczyć?... To nie jest zwyczajem pana... ubliżać kobiécie.

Raoul.

Oh! niech się pani o siebie nieboi.

Zuzanna.

Ja niemam się czego obawiać.

Raoul.

Czyś pani tego pewna?

Zuzanna.

Pan sam mi to mówisz. — Mam zresztą od pana słowo dane z większą rozwagą, z większą uroczystością, i to jedynie mnie uspokaja.

Raoul.

Przyrzekłem pani że będziesz wolną, przyrzekłem pani oraz moją obojętność... Czy pani mówisz o tém przyrzeczeniu? Czyś pani pewna żeś niezapomniała o warunkach?

Zuzanna.

Niepoczuwam się do żadnego sprzyniewierzenia.

Raoul *(cierpko.)*

Zuzanno! zapomniałaś wszystko, a nawet otwartość swoją: a jednak jest-to cnota, wierzaj mi pani, która zdobi nawet upadek wszystkich innych.

Zuzanna.

Co pan przez to chcesz powiedzieć?... jakiejżto otwartości wymagasz pan odemnie? Czy miałam narzucać panu moje zwierzenia?... Gdybyś mnie był zapytał Raolu, przysięgam, iżbyś mnie był znalazł równie szczérą, jak nią byłam zawsze.

Raoul.

Gdybym panią był pytał?... A teraz, — w téj chwili — gotowaś pani odpowiedzieć?

Zuzanna.

Najchętniéj.

Raoul.

Dobrze więc. Powiedz pani, te marzenia, te złudzenia, względem których słyszałem od pani tak gorzkie wyrzuty, że ich niepodzielam; czyliś pani zgłębiła ich wartość? Te wzruszenia, których pani szukała z takiém upragnieniem, czyli wyrównały jéj oczekiwaniom? Pokładasz pani w nich zawsze jeszcze tak wielką wartość?

Zuzanna *(głosem cichym i drżącym.)*

O zawsze!... Pozwól mi pan mówić... nieodtrącaj mojéj otwartości, kiedyś ją sam wywołał. Tak jest... przebiegłam krok za krokiem tę drogę mych marzeń, tę drogę młodości, którą niechciałeś mnie poprowadzić... Napotkałam na niéj wszystkie słodycze marzonego szczęścia... Jeżelim się zawiodła, to tylko w zbytecznem niedowierzaniu w dobroci Boga! Nieprzeczuwałam nawet ile rozkoszy sprawić może jedna łza uroniona w uniesieniu! Tak jest, znam tę śmiertelną trwogę, te nieskończone nadzieje, te krótkie chwile pozostawiające tak trwałe wspomnienia.... Słowem kochałam...... byłam kochana, wiem co szczęście na ziemi!

Raoul.

Słuchałem pani.... obłąkanie umysłu i mowy usprawiedliwia panią.... Poprzestaję na tém. Masz pani nakoniec romans któregoś szukała.... jesteś zaspokojona. Dobrze; — ale czy pani przewidujesz koniec tego wszystkiego?

Zuzanna.

Koniec? — Nie.... niewiem.... (Dobywa z zanadrza mały kluczyk złoty i daje go nieśmiało Raoulowi. Raoul odurzony wpatruje się w oczy Zuzanny, która powiada z uśmiechem:) Pan wątpisz?.... Ten romans.... mam go na piśmie.... Chcesz go pan odczytać?

(Pokazuje mu pakiet listów otwartych na stole.)

Raoul.

Cóż to takiego?.... Moje listy?.... (Porywa je drżącą ręką.) Moje listy do Jérzego!...... Ale cóż to ma znaczyć?.... na Boga, mów pani, niezostawiaj mnie tak!

Zuzanna.

Ten do któregoś je pan adresował odsełał mi je zaraz po odebraniu. Nie miéj mu tego za złe, Raoulu! Zdradził cię, to prawda...... ale jakże byłam szczęśliwa!..... Odpisywałam na każdy z jego listów, w nadziei że kiedyś może...... Tam na stole leżą moje odpowiedzi!

Raoul *(słucha Zuzanny wzruszony i drżący. Nagle idzie do okna.)*

Cóż widzą moje oczy! ten zdrajca tutaj!

Jérzy *(wychodzi z-poza firanki.)*

Nie zdrajca, ale przyjaciel.

Raoul.

Więc to ty!.... O Boże wielki! to ty kochany Jérzy! (Rzuca mu się w objęcia.)

Jérzy *(z uśmiechem.)*

A któżby inny.... uspokój się bracie! — Ostatni twój list przestraszył mnie. Przywiozłem go sam w obawie żeby się poczta nie spóźniła..... Miałeś mnie za pana Bailly, czy tak?.... Jedno tylko słowo posłuchaj o nim. Albo raczéj (do Zuzanny) chciéj pani powtórzyć Raoulowi te słowa tajemnicze, któreś pani powiedziała wczoraj wieczór do pana Bailly w swoim salonie. — To będzie dostateczne.

Zuzanna *(ochoczo.)*

Powiedziałam mu: Mój panie, pokąd sama tylko domyślałam się pańskich ubliżających zamiarów, dopóty znosiłam je z rezygnacyą; ale dziś kiedy na tém cierpi spokojność, którą bardziéj cenię niż moją własną, proszę pana usilnie ażebyś się oddalił. — ....Raoulu, zlituj się, przemów do mnie.... powiedz że mi wierzysz? (Raoul oparty o gzyms komina z głową pochyloną zasłania twarz obydwoma rękami. Milczy. Zuzanna mówi głosem stłumionym od żalu do Jérzego:) Panie Jérzy.... on mi nigdy nieprzebaczy...... zbyt dotkliwie obraziłam jego dumę...... ah! teraz będzie mnie nienawidził!

Jérzy *zbliża się do Rauola schyla się ku niemu, jak gdyby mu chciał co powiedzieć; nagle odrywa obydwie ręce jego i zmusza go obrócić ku Zuzannie twarz swoją zalaną łzami.)*

Obróć się! — Niechaj cię żona widzi takim!

Zuzanna.

On mnie kocha!

Raoul *(tuląc ją do łona.)*

Aniele!

ANIOŁ.

Z powieści Andersena.

Gdy kona dobre dziécię, zstępuje anioł z nieba, otula całun w swe duże skrzydła białe, i wzlatuje z nim ponad te błonia i łaczki w których za życia dziécię rozkoszowało, uszczknie tu kwiatek, tu listek, tam z pączkiem roślinkę wymknie, i niesie z duszeczką na łono boże, by rozkwitła rozkoszniéj jeszcze. A miłosierdzie boże spojźrzy z lubością na ulubiony dziécięciu kwiatuszek, ujmie go dłonią, do łona przytuli, i tchnie pocałowaniem ażeby ożył i zanócił spiewem, jakim stworzenia opiewują błogi stan szczęśliwości w królestwie niebieskiém.

To poszeptywał anioł dziéciątku unosząc całunek jego do nieba, a zmartwiałe dziécię przysłuchywało się słowom anielskim jak we śnie; lecieli w samowtór ponad ogródki i gaje którędy za życia dziécię przebywało, w których się kochało, a kwiatki wyzierały i prężyły się za nimi.

O lube moje kwiateczki! mówi dziécię; a anioł na to: które z nich zechcesz przesadzić do nieba?

A stali właśnie po ten czas prosto nad jedna róża, którę ktoś u spodu nadłamał tak, że gałązki z pączkami schły i więdniały.

Ah biedny krzaczek, zawołało dziécię, zabierz go proszę, a zakwitnie nanowo u pana Boga.

A anioł uściskał dziécię za to, a dziécię zmartwiałe oczko przez pół otwarło, bo uścisk anielski, to człowiekowi połowa życia; wespół potem nabrali kwiatów, a różne tam były i dzwonki i lilie, ogniczki i tymianki, ale także tojadki i rdesty.

Co tu już kwiatków mamy, mówi dziécię, tuląc się w skrzydłach anioła, lećmy! i lecą świątli światłością swoją, widzieli w około wszystko, chociaż noc była ciemna, nastała w padole cisza, gasły światła po grodach i miastach; nad jedném właśnie zatrzymał stróż anioł polot, i patrzyli z góry na wazką ulicę gdzie był nieład wielki i śmiecia dużo, pełno tu leżało okruchów, czerepia, słomy i drobiazgów jak to bywa kiedy się ludzie przeprowadzają.

A anioł pokazał chłopięciu swemu czerepki z doniczki kwiatów leżące w pomiocie, obok leżała bryłka zeschłéj ziemi z korzonkiem uschłego kwiatka polnego. Nic to wszystko nie było warte, i dlatego wyrzucono na śmiecie; ale anioł mówi: Zabierzmy to z sobą, a powiem ci dlaczego.

I lecieli daléj, i anioł powiadał:

Na tym zaułku w gnuśnéj piwnicy mieszkał jeden biédny chłopczyna kaleka; od dzieciństwa złożony niemocą dźwigał się o szczudle raz tylko na dzień i na chwilkę do luki, ażeby odzionąć stęchliznę, a odetchnąć powietrzem znadworu. Światła tu nie bywało, gdzieś tylko latem zabłysło słońce trochę i na tém wszystko; a chłopczyna wtedy kiedy mógł do słońca przez paluszki czerwoność krwi dojźrzeć, mawiał: „dziś świat widziałem.“

Las mu był znanym tylko z odłamku gałązki dębowéj; przynosił mu ją w upominku chłopak sąsiada, a on ją stawiał u głów łóżeczka i roił w myślach że spoczywa pod cieniem drzewa które słońce promieniami oblewa, a ptaszki na nim spiewają.

Raz na wiosnę przyniósł mu chłopak także coś kwiatuszków polnych, a jeden z nich przypadkiem z korzonkiem, a on go posadził w doniczce i przy łóżeczku postawił w światło do luki. Szczęśliwa ręka sadziła go, bo się przyjął kwiatek w doniczce, rósł i co roku przykwitał.

To był cały ogród chłopięcia, to jego skarb ziemski, podlewał go i pieścił, a czuwał nad nim ażeby i jednego promyka nie stracił póki tylko słońce zaglądało do jego luki. I kwiatek zrósł się z myślami jego, przeszczepił się w duszę i serce jego, co on czuł, doświadczał i kwiatek, co kwiatek doznawał to samo i jemu było; on do kwiatka przymawiał, kwiatuszek go słuchał, wonie swoje podsyłał, barwnym listeczkiem rozweselał; jemu chłopczyna spowiadał się z żalów swoich i uciech serca, do niego także zwrócił ostatnie spojźrzenie gdy go Pan niebieski odwołał. Rok bawił na łonie bożém, i rok stał kwiatek w luce zapomniany aż usechł, i teraz go wyrzucono na śmiecie. — I oto ten zeschły kwiatek teraz zabraliśmy z sobą, bo on jeden więcéj sprawi Panu radości, niźli najwspanialsze wysadki po ogrodach królewskich.

Ale zkąd ty to wiesz, zapytało dziécię anioła?

Zkąd? Jak nie mam wiedzieć, odpowie anioł, wszakto ja sam jestem owo chłopię kaleka; mój kwiatek przecież znać muszę.

A dziécię zajźrzało w twarz aniołowi, łza mu się w oczku zatrzęsła — i w téj chwili stanęli przed obliczem Boga w niebiesiech gdzie wesele samo i radość; Bóg przytulił dziécię do łona swego, a zpod ramiączek wystrzeliły dziéciątku skrzydełka jak aniołowi, z którym przyleciał, razem też odlecieli. Kwiatuszki Pan Bóg przycisnął do łona, a jeden z nich, ów zeschły kwiatuszek polny ucałował, a kwiatek ożył i zaczął spiewać z aniołami którzy otaczali stolicę bożą, jedni w bliży drudzy w dali, a wszyscy w okołu coraz szerszém i szerszém jak świat széroki a przestrzeń nieskończoności, wszyscy szczęśliwi i radzi przyspiewywali dobremu dziécięciu ku sławie kwiatka polnego, który zewiądł, zesechł wzgardzony w brudach zaułka wielkiego miasta.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*